



ZOŠKA

PAPUŽANKA

KAKOL



MARGINESY



Projekt zrealizowany w ramach Stypendium Twórczego
Miasta Krakowa 2020



Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym
Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO,
realizowanej przez Krakowskie Biuro Festiwalowe
ze środków Gminy Miejskiej Kraków

COPYRIGHT © BY Zośka Papużanka
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

*dla L., zawsze i wszędzie,
i dla Bejatki, z podziękowaniem*

Zbieram liście. Zrywam liście z drzew i wkładam między kartki książki albo zeszytu. Bez żadnego systemu, rozróżniania i segregowania według gatunków drzew, bez głębszego uzasadnienia, po prostu ze zwykłej żądzy posiadania, której zawsze bezpiecznie folgowałam. Chcę mieć. Chcę mieć ten liść, zrywam go i chowam, to wszystko. Lubię pisać na kartce, pod którą leży liść, duży wachlarz klonu, niecierpliwa dłoń kasztanowca, prążkowana łyżka grabu. Linie papilarne drzewa szukają człowieka, liść pod kartką pyta o moje linie papilarne, to jest jak cudza skóra, której się nie spodziewasz, a której dotyk zostaje w tobie na długo, na dłużej, niż prosiłeś, niż to potrzebne. Liść ma nerw główny i nerwy boczne, jak człowiek. Dotykam go piórem przez kartkę, drażnię jego nerwy, a on je odbija na papierze. Bardzo jest trudno tak pisać i oboje wiemy, że tak ma być, że tak właśnie będzie, że nie można prosto i gładko, bo wtedy nie ma dotyku.

Chociaż pouczano nas, byśmy nie zabierali wiele, zabieraliśmy wszystko, bo świat, do którego nas zabierano, zbudowany był z nie naszych rzeczy. Nie zawierał w sobie naszych sandałów, ręczników, naszych kredek i foremek na ciastka. Ktoś inny go zbudował, inny Pan Bóg, który łaskawie zapraszał nas na chwilę i pozwalał ułożyć na swoich półkach nasze rzeczy. Jest jeden Bóg, mówiło przykazanie. Mogło sobie mówić, co chciało, a Bóg i tak wiedział swoje.

Pierwszy dzień wakacji zadziwił nas swoją rozlazłością, oznajmiał się godziną ósmą piętnaście na czerwonym budziku, godziną, która przywykła do klasówki z matematyki albo do biegu na czterysta metrów wokół boiska, a która teraz budzi się bez pośpiechu, sama zdziwiona, że jej wolno. Wolno nam było wszystko. Świadectwa z czerwonym paskiem uprawniały człowieka do wakacji. Mama była zadowolona. Ojciec szedł po samochód.

– Chcesz śniadanie?

– Chcę.

– To sobie coś zrób, dobrze?

Nie było dobrze. Było zbyt gorąco. Nie dość, że lipiec rozwalał się jak kot na parapecie, to jeszcze na każdym z czterech kuchennych palników stał garnek. Pieczeń kąpała się w sosie. Z piekarnika wyszło ciasto z owocami. Mama obierała marchew do zupy, marchew była pomarańczową kredką, którą można narysować zbyt duże słońca. Siadałam nad kromką

z masłem przy stole pełnym naczyń, pokrywek, patelni, poustawianych w siatkach, pozawijanych w folię, jakbyśmy jechali na wojnę albo na pustynię. Ojciec szedł po samochód.

Odkładałam talerz do zlewu wypełnionego po brzeży innymi brudnymi talerzami, łyżkami, widelcami i kubkami. Czasem litowałam się nad moją mamą sanitariuszką i zmywałam z drewnianej deski żółte łyż, pozostałe po krojeniu pomidorów, albo zlizywałam z łopatkii miksera resztki piany z cukru i białka. Wszyscy to robią. A wszystkie mamy mówią wszystkim, że nie wolno. A wszyscy i tak zlizują pianę.

– Nie jedz tego, to są surowe jajka, nie jedz.

– Gdzie ojciec?

– Spakowałaś się już?

– Gdzie ojciec?

– Jak to gdzie. Poszedł po samochód.

Moja mama wyglądała ładnie. Pachniała cebulą i pieprzem. Miała wakacyjną sukienkę na ramiączkach, białą i długą, w bardzo drobne kolorowe kwiatki. Zazdrościłam jej jasnych włosów wyplątujących się samowolnie z koka i szukających końcówkami wszystkich kierunków świata. Moje włosy były nudne i chude, znały tylko jeden kierunek. W dół. Nie miały własnego życia, nie zapisywały niezależnych planów. Mama miała ładne włosy, w ogóle była ładna, w tej letniej sukience najładniejsza, a kto jest najładniejszy, ten pierwszy zginie, wiadomo. Nie wiadomo

natomiast, czy lepiej być ładnym, czy żywym, trudno się zdecydować.

- Dasz mi śniadanie?
- Gdzie jest ojciec?
- Mogę to przesunąć?
- Posmarujesz mi kromkę?
- Mogę to zjeść?
- Mogę to przesunąć?
- Zrobisz mi wody z sokiem?

Do kuchni wpełzało jasnowłose robactwo, stan liczebny – dwoje, możliwości destrukcyjne – sto na sto. Gdyby się bliżej przyjrzeć, można było stwierdzić, że robactwo różni się między sobą cechami płciowymi, nieznacznie wysokością w kłębie i higieną przewodu usznego, ale nie przyglądałam się bliżej, mając robactwo za jedną jasnowłosą plamę, która wlała się między moją mamę a mnie w źle zapiętej górze pizamki w jakieś słoniki i majtkach na lewą stronę i która teraz jadła chleb z pomidorem, patrząc na mnie intensywnie, jakbym była czymś nieoczywistym, nie do końca pojętym w pasożytniczym spojrzeniu Trutni.

Trutnie były dwa, ale wyglądały jak odbite przez kalkę, ojciec w zasadzie mógłby zrobić za jednym zamachem jeszcze z pięć identycznych, a potem pójść po samochód.

Mama wyglądała ładnie. Zastanawiałam się, jak można wyglądać tak ładnie, jakby się miało tylko mnie i nic do roboty, podczas gdy ma się jeszcze przez

pomyłkę, w amoku chyba jakimś wykonane Trutnie, dwadzieścia kotletów w panierce, garnek zupy, wiadro ruskich i ciasto oraz nie ma się aktualnie męża, ponieważ poszedł po samochód. Jak można było wyglądać tak ładnie, gdy się wiedziało, że to dopiero początek, że piekło ledwie uchyła skrzypiące drzwi, gdy się wiedziało, w co się człowiek pakuje.

Każde z nas na pewno, i Trutnie, i ja, chciało kiedyś z ojcem pójść po samochód, pójść chociaż raz i odkryć, co też podczas tego pójścia, trwającego czasem ponad dwie godziny, się dzieje. Pewnie nawet pytaliśmy, prosiliśmy, żeby ojciec zabrał nas ze sobą gdzieś tam, do tego dalekiego miejsca, w którym samochód jest ukryty przed ludzkim wzrokiem. Ja prosiłam, ale ojciec nigdy mi nie pozwolił, więc pewnie gdyby Trutnie prosiły, też spotkałyby się z odmową, z krótkim nie, uderzającym jak ścierka w ramię, nie i koniec, no ale dlaczego, ale dlaczego aledlaczego. Ojciec wychodził. Mama wiedziała tylko tyle, że samochód stoi gdzieś w jakimś garażu i jest to samochód w takim stopniu święty, że nie może stać pod naszym blokiem pośród innych samochodów, których ojcowie nie musieli nigdzie daleko chodzić. Samochód, którego ojcem był nasz ojciec, miał swoje garażowe tabernakulum i czekał na właściwy dzień, żeby ruszyć, święty dzień poruszenia, ale zanim ruszył, trzeba było po niego pójść. Ojciec mógł, bo mógł. Gawiedź nie mogła, bo nie i koniec. Samochód był kwiatem paproci, skrzy-

nią na końcu tęczy, księżniczką na szklanej górze i tylko dzielny rycerz o szlachetnym sercu, skrytym pod benzynową zbroją, mógł ten skarb otrzymać na określonych warunkach i w ściśle określonej chwili, nie tak codziennie i bez sensu. Samochód nie służył do jeżdżenia po zakupy czy do odwożenia Trutni do szkoły. Trutnie miały zdrowe odnóża, mama miała siatki i dwie ręce, a samochód był stworzony do wyższych celów. I miał go ojciec. I chodził po niego i do niego jak do najładniejszej dziewczyny w okolicy. Starania i zabiegi, którymi mój ojciec obdarzał samochód, były z pewnością większe od zabiegów, które musiał niegdyś przedsięwziąć w celu zdobycia mojej mamy. Zresztą z nią było mniej ceregieli niż z samochodem. Robi dzieciom śniadanie, pilnuje, żeby były spakowane, stoi przy garach, gotuje bez gadania pięć dań równocześnie i nie pomyli się, gdzie cukier, gdzie pieprz, mimo że Trutnie na niej wiszą, i znowu ładnie wygląda, chociaż nie powinna. Moja matka Maria Stuart. Uśmiech do zdjęcia, uśmiech do ścięcia. Maria Stuart królowa kuchni. Ma pomidory i młode ziemniaki z koperkiem, ma ciasto z pianką, ma dzieci i sukienkę w kwiatki. Ojciec zaś ma samochód. I wszyscy powinni być zadowoleni.

Dzieci były bardzo średnie, w cieście czasem robił się zakalec, dobra mina do złej gry, natomiast samochód był wyjątkowy. Całe te ceregiele, wyjścia i powroty, ukrywanie go, dziwność ojcowych nabożeństw

wyjaśniała się, gdy pod klatkę schodową podjeżdżał wreszcie pomarańczowy płomień, a sąsiedzi wystawiali głowy przez okna, zwabieni miękkim barytonem silnika. Gdybyśmy mieli samochód codziennie, przestałby należeć do sfery sacrum, pomarańczowy płomień nie rozpałałby sąsiedzkiej wyobraźni, a miejsce jego ukrycia stałoby się dostępne dla każdego głupiego Jasia. Gdyby samochód stał na parkingu, ktoś mógłby zechcieć bezrefleksyjnie przejść mimo, zaważać kołem wózka dziecięcego, zaparkować zbyt blisko innym samochodem, jakiś pies mógłby podnieść nogę, człowiek zły porysować lakier na masce klucza mi pełnymi zrozumiałej zawiści, jakieś dziecko mogłoby grać koło naszego samochodu w piłkę, a piłka mogłaby omójboże nawet mi nie mów. I tak dalej. Ale samochód nie był chlebem powszednim i żadne tam daj nam dzisiaj. Nie dla psa kielbasa, nie dla plebsu opel kadett tysiąc. Zresztą ojciec nie używał słowa samochód, mówił po imieniu, opel, idę po opła, powiedział na pewno, gdy wychodził rano na swoją jutrznię, a ja jeszcze spałam; mówił: opel, ewentualnie: autko.

Pomarańczowy kolor płomienia, jak większość spraw niewyjaśnionych przez ludzkie mózgi, ale czczonych i mitycznych, był przypadkowy. Ojciec kupił nowe auto, powypadkowe. Złożył je, właściwie zbudował od początku, trudno się zatem było dziwić jego przywiązaniu; jako dzieci i Trutnie nie rozumieliśmy, dlaczego ojciec bardziej zabiega o stan technicz-

ny, czystość i względy samochodu niż nasze, dlaczego auto nocą mieszka gdzieś daleko, w osobnym tylko swoim domku, a my się gniewamy we wspólnym pokoju, porośniętym nienawiścią o każdy klocek, książkę, kredkę. Z czasem stało się jednak oczywiste, że ważniejsze jest dla człowieka coś, co robi dwa lata, niż kilka minut. Lakier sprowadzano w czasie tajnej misji z zamorskich krain, gdzie lakiery do samochodów istniały. Zdobyć puszkę lakieru oznaczało wyprawę do Kolchidy czy El Dorado, ale ojciec się uparł i lakier załatwił. Lakier miał być koralowy. Król Karol zamiast koralu kupił królowej Karolinie lakier do karoserii koloru koralowego. Gdy otwarto pierwszą puszkę, okazało się, że kolorem koralowym ten kolor nie jest, tylko kolorem wścieklej pomarańczy, płatków nasturcji i aksamitek. Zdobyć innych puszek farby do karoserii w kolorze dowolnym niepomarańczowym nikt nawet nie brał pod uwagę. Tak, drogie dzieci, był sobie kiedyś kraj nad Wisłą, gdzie wszystko było niemożliwe albo za dolary. A dolary wcale nie były dolarami, tylko papierem. Ale nikt z mieszkańców tej krainy prawdziwego dolara na oczy nie widział, więc zgodziliśmy się na papier. Wiele rzeczy w tej zakłętej krainie zrobiono z papieru, poza najważniejszym z papierów, kwintesencją papieru, którego nie było. A jeśli był, ludzie tak się cieszyli, że robili z niego wieńce i naszyjniki.

Sąsiad z czwartego wystawia łysą głowę, bo oto między szare szczyty wielkiej płyty wjeżdża ognisty

rumak, zatrzymuje się w polu zdumionych fiatów 126p okraszonych jednym czy dwoma polonezami, a z rumaka wysiada mój ojciec, wódz nad wodze, i udaje szlachetnie, że nie liczy spojrzeń poddanych, zazdrośnie obserwujących nieskalaną sylwetkę opła kadetta tysięcy, poddanych nieświadomych, że mityczny kolor wściekle pomarańczowy jest niezaakceptowanym zbiegiem okoliczności, i traktują go jak ekstrawagancję, na jaką tylko prawdziwi wodzowie mogą sobie pozwolić.

Ojciec wysiada. Obchodzi samochód dookoła, zagląda pod maskę, chociaż wie, że nie ma czego poprawiać, silnik chodzi pod jego ręką jak dwudziestolatka po jednym piwie za dużo. Tata przyjechał opelem! krzyczą Trutnie czatujące przy oknie, tatatatata opelem-opelem! Mama zakręca kurki gazu. Może chciałyby odkręcić, zdjęć z balkonu suche ręczniki i zatkać nimi szpary pod drzwiami, nie wiem, może chciałyby, ale jej nie wolno, jest gospodynią domową i ma teraz powkładać jedzenie do garnków i słoików, jest głównym logistykiem wyprawy i musi sprawdzić, czy zgadza się liczba śpiworów, majtek i suchych ręczników, czy jest akutol na rany na kolanach, który piecze jak cholera, ale trzeba; jest w końcu mamą moją i Trutni, ma na sobie letnią sukienkę i nie czas myśleć o takich rzeczach.

– Gotowi? – pyta ojciec, który już stoi w progu.

– Prawie – odpowiada mama. Ustawia nas w pochodzie, na czele którego stoi ojciec. Ojciec czeka przy

drzwiach i się nie rusza, czeka spokojnie, aż mama skończy nas ustawiać i sprawdzać, czy wszystko zabraлиśmy. Ojciec nie rusza się z miejsca. Nie narzeka, że za długo, nie poprawia, nie ingeruje w strategię mamy, nie działa wcale. Każdy tu ma swoje miejsce i swoje zadania, mama po prostu ma wiele miejsc i zadań, a ojciec jedno, ale ważne: przywieźć samochód, podjechać ognistą strażą i czekać spokojnie, aż pozostałe mniej ważne zadania zostaną wykonane.

Mama zakłada nam na ramiona szelki spakowanych plecaków, rozdziela między nas torby i garnki, stawia przed ojcem ogromną granatową walizkę. Trutnie dostają zielony owalny garnek, który nazywa się gęsiarka, choć gęsi nigdy nie widział, jeśli już, to bigos, czasem nogę kurczaka. Nie mieścimy się do windy, schodzimy z drugiego piętra po schodach, odprowadzani migającymi judaszami sąsiadów; pokrywki podskakują rytmicznie, nadając naszemu obiadowo-deserowemu pochodowi pierwszolipcowemu rys smutnej uroczystości państwowej albo pogrzebu. Czekaliśmy, aż mama rozlokuje nas na czerwonych siedzeniach opla kadetta tysiąc, pozapina pasami i każdemu ułoży na kolanach jakiś bagaż podręczny. Co się nie zmieściło do bagażnika, trzymamy przy sobie, trochę chyba jak w samolocie, ale skąd mogłaby to wiedzieć, samoloty nie latają w naszej magicznej krainie, mama leciała tylko raz, w osiemdziesiątym czwartym, do Rzymu, do papieża; przywiozła nam pisaki i pomarańcze, ale

istnienia samolotu nie potrafiła udowodnić. Dostawałam do trzymania na kolanach zieloną gęsiarkę. Wyobrażałam sobie, że gdybyśmy mieli wypadek, znaleziono by nas zalanych sosem pieczarkowym i ciastem z pianką. Moją mamę rozpoznano by po letniej białej sukience i po wianku z pierogów, a wszystko przykryłaby zupa pomidorowa zmieszana ze szkłem słoików. Na szczęście mieliśmy przy sobie kilka butelek akutułu na rany, który szczypał jak cholera, ale tak trzeba. Akutolowa powłoka zabezpieczała każdą ranę grubą gumową warstwą. Byliśmy zranienioodporni. Tak przynajmniej uważaliśmy.

Ojciec jechał pewnie i bezpiecznie. Wiedział o swoim opłu wszystko, wszak go stworzył, my zaś nie wiedzieliśmy nic, wszak byliśmy tylko trójką bez sternika i bez pomysłu, zatem zawsze musieliśmy pytać, a skutek bywał różny. Czasem ojciec pozwalał otworzyć okno, czasem nie. Czasem jedno tak, a drugie już nie. Na szczęście można było od początku jazdy rozmawiać, co stanowiło poważne udogodnienie w stosunku do wypraw zimowych, na przykład gdy jechaliśmy na święta do wuja do Cieszyna i przez pierwszy kwadrans nie można było rozmawiać ani oddychać buzią, tylko przez nos, bo szyby opłowi zaparują. Nie można też było nigdywcale, bez względu na porę roku, wiercić się ani rozpraszać kierowcy formuły jeden zbędnymi pytaniami w stylu tato, a kiedy dojedziemy,

albo tato, a czy możemy gdzieś stanąć bo mi się bardzo chce sikać kaszleć rzygać, ani też uwagami natury estetycznej o jaka gruba krowa, o jaki ładny dom.

– Możesz stanąć koło sklepu na Zabawie? – prosiła mama na dziesięć minut przed wjazdem do wsi Zabawa, żeby dać ojcu czas na przemyślenie sprawy, zebranie i ocenę argumentów i kontrargumentów i powzdychanie. Stanąć koło sklepu. Czy możesz. Nigdy nie mógł. Wzdychał i zatrzymywał samochód.

Wiejski sklep pachniał ciepłym chlebem, babami w trzech warstwach kufajek odpornych na każdą temperaturę i chłopami, którzy od dziewiątej rano przepijali emeryturę. Ekspedientka odkrawała nożem kawałek czerwonej marmolady z ogromnego bloku. Na blacie stało przezroczyste pudło z landrynkami tak posklejanymi, jakby ktoś celowo pluł między nie albo lizał i odkładał z powrotem, aż do uzyskania zielono-złotego witrażu. Nad plackami z serem wolno krążyły tłuste muchy i osy złodziejki, symbiotycznie związane ze sklepem. My też byliśmy symbiotycznie związani ze sklepem, zwłaszcza Trutnie, które w czasie każdej naszej wizyty umiały wypatrzeć lizak o nieznanym im smaku albo gazowane picie w kolorze nieistniejącym w przyrodzie. Ojciec i opel czekali na zewnątrz, stali i czekali, spoglądając gniewnie na bąbelki w butelce i złocistą kulę landrynek. W autku się nie je ani nie pije, przypominam, mówił ojciec, w autku się wyłącznie jedzie, żadnej innej czynności

w autku się nie wykonuje. Konsekwencje, mówił ojciec, a myślał opel, konsekwencje to nie jest słowo wszystkim znane, landrynkowe konsekwencje to słodkie plamy na nienagannej tapicerce, bąbelki butelkowe oznaczają, że nam to picie za dwieście metrów pójdzie nosem i uszami, a suma składników oznacza pawia w autku, pawia w oplu, czyli że chyba idziecie na piechotę, tak? Kto puści do opła pawia, tego się dusza nie zbawia.

– Nie chcemy iść na piechotę, bo się zgubimy i jest za ciepło! – darły się Trutnie. – Wypijemy i zeżjemy wszystko teraz! I nie będziemy rzygać w oplu, obiecujemy, tatusiu! Kto opła cukrem uklei, nie masz dla niego nadziei! Kto na siedzeniu się wierci, ten błaga o karę śmierci! Kto w opła łapska wyciera, temu się piekło otwiera!

Mama podawała Trutniom chusteczki do łap, chusteczki kleiły się do skóry, Trutnie wsiadały i kładły uklejone paluchy na kolanach, żeby tylko nie dotknąć opła kadetta w żadne miejsce. Już za drugim zakrętem zaczynało się Trutniom odbijać wesołymi kolorowymi bąbelkami, które szczypią na podniebieniu i w nosie jak nieświadome dzieciństwo. Trutnie łapały powietrze, jakby pływały w oplu kraulem, i modliły się, żeby nie rzygnąć. Na szczęście byliśmy już blisko.

Jeszcze jeden zakręt, jeden pagórek i ostatni zjazd w drogę, o której wiedzieli tylko ci, którzy mieli wiedzieć, i byliśmy na miejscu. Tak się mówi, jesteśmy

na miejscu, czyli na czymś, na czym być powinniśmy. Tam, gdzie chcemy. Dokąd dążymy. W punkt, który sobie wyznaczaliśmy, miejscu, gdzie jest nasze miejsce. Nasze, do dyspozycji, dla mnie, dla ciebie, bierzcie i jedźcie to miejsce, przynóście tu swoje rzeczy, swoje garnki z jedzeniem, pościel, proszek do prania, dzieci mile widziane, rozmnażajcie się i czyńcie sobie miejsce poddanym. Choćby się nie wiem ile razy powtarzało, choćby się to tłukło w każdym zdaniu, nic się nie zmieni, język i tak pozostanie szmatą bez zasad. Miejsce. Nasze miejsce.

Opel parkował na trawie, łamał znaki ostrzegawcze babki lancetowatej, zapadał się w miękkie srebrzyste skrzydełka pięciornika gęsiego. Dach domu i ganek wyłaniały się zza gałęzi gruszy, które trzeba było rozgarniać ręką jak włosy opadające na czoło. Przed nami otwierało się nisko położone gardło piwnicy z prowadzącą do niego ścieżką stokrotek. Z prawej strony, za trzema węgierkami ubranymi w niewielkie, zielone jeszcze owoce, stała psia buda. Pies zobaczył nas i ucieszył się swoją głupią psią radością, wył i tańczył na łańcuchu, kładł się i pokazywał brązowy miękki brzuch, prosząc o czułość. Pies się cieszył, że przyjechaliśmy. No i to by było na tyle.

Na tyle radości i na tyle ruchu. Gdybyśmy się zatrzymali w naszym garnkowo-pościelowym pochodzie, gdybyśmy się wyłączyli jak silnik samochodu, który

zasłużył na dłuższy odpoczynek, usłyszelibyśmy ptaki w gałęziach, żaby w stawie, wiatr dotykający ziemi. Gdybyśmy. Ale szliśmy dalej, do domu. Szliśmy w naszej nierozumnej pielgrzymce garnkowo-pościelowej, szukając ciągle i od nowa tego, co nie było dla nas. Ludzi. Ludzi nie było. Człowiek jest głupi i uważa, że ludzie są mu potrzebni, domaga się ich dźwięków, zapachów, słów, podczas gdy żaby w stawie naprawdę są przyjemniejsze. I rytmiczne stukanie dzięcioła. I czarno-czerwone żuczki, które poruszają się, tworząc płamę, jakby musiały się dotykać, czuć, jakby chciały swojej bliskości. Żuczek żuczka z żuczkiem. Naprawdę żuczki są ciekawsze i sobie bliższe. I tylko ta wieczna naiwność mojej mamy, że może tym razem się uda, i tylko te pobożne życzenia mojego ojca, że tym razem to już na pewno, tylko się trzeba postarać, i Trutnie robiące za dużo hałasu, przekonane, że swoją radością i spontanicznością coś wywalczą. A trzeba było pozostać na poziomie żuczków, zbliżyć się plecami, uformować szyk, żeby nikt nam nie zaszkodził, i mieć w nosie wszystkie sprawy poza sprawami żuczkowymi. Żuczki to wiedzą, człowiek nie wie. Dla żuczka to proste, istnieje drugi żuczek, trzeci żuczek, czyli że są żuczki. Człowiek człowieka nie widzi, a i tak wierzy, że jest. Nieprawda. Ludzi nie ma. Ludzi nie było.

**Ta książka pachnie suchą trawą, mlekiem i korą drzew.
Boli jak pierwsze doświadczenie niesprawiedliwości.
Jest urokliwa i straszna, nieprawdziwa i prawdziwa.**

Warto udać się w tę baśniową podróż. Warto przedzierać się przez zarośla wydarzeń, przez gęstwiny historii, przez nieuchronne koleje losu. W tym magicznym realizmie dzieje się wyraziste życie, z którego „trzeba wyrywać chwasty” i pamiętać, skąd przychodzimy i po co jesteśmy stworzeni.

EWA LIPSKA

Historię rodzinną można pisać na wiele sposobów. Zośka Papużanka zamyka ją we wspomnieniu z dzieciństwa, z wakacji na wsi, gdzie wspólnie spędzają długie tygodnie dziadkowie, ich dzieci z małżonkami i wnuki, czy tego chcą czy nie. Gorzko-słodką opowieść autorka snuje precyzyjnym językiem i jak zawsze uwodzi wielką uważnością, nie pomijając żadnego chrapączka ani polnego chwastu.

MARIA FREDRO-SMOLEŃSKA, „Vogue Polska”

Szanowna redakcjo. Bardzo mi przykro, ale odmawiam napisania notki na książkę niejakej Zośki Papużanki. Po prostu roznosi mnie zazdrość o jej talent. Jak to możliwe, że ona umie tak pisać, że człowiek nie chce kończyć *Kąkola*? Że wołałaby siedzieć do końca życia na wsi, na schodach prababki Karoliny, i przyglądać się kurom wystrojonej ciotki Aurelii. Dlaczego miałabym pisać cokolwiek o książce, w której każde słowo zna swoje miejsce, kolory i faktury czuć na języku, a postaci są pełnokrwiste? Że jest w niej poczucie humoru typowe dla tej pisarki, a jednocześnie uwaga, czułość i troska, bez zbędnej jednak tkliwości. Jest jeszcze dziadek Antoni, terrorysta domowy najwyższej klasy. O nim tym bardziej nie napiszę, bo go nie lubię. Nie ma mowy, żebym przyznała, że Zośce Papużance, tej pisarce osobnej, która pisze jak nikt inny, żnów się udało znakomita historia, tym razem o wspaniałych wakacjach koszmarnych wakacjach.

Z poważaniem, **MAGDALENA GRZEBAŁKOWSKA**

ZOŚKA PAPUŻANKA – mieszka i pisze w Krakowie, uczy języka polskiego. Zadebiutowała w roku 2012 *Szopką*, która przyniosła jej nominacje do Nike i do Paszportów „Polityki”. W 2016 roku ukazała się jej druga powieść, *On*, nominowana do Paszportów „Polityki”, nagrody Gryfia i wyróżniona tytułem Krakowskiej Książki Miesiąca, w 2017 roku zbiór opowiadań *Świat dla ciebie zrobiłem*, a w 2020 kolejna powieść *Przez*.

**KUP
TERAZ!**

cena 44,90 zł

PATRONKI MEDALNY

 **KRAKÓW**
MIASTO LITERATURY
UNESCO

 lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

 eBOOK